

FRONDA

GERTRUD
VON LE FORT



Papież z getta

POWIĘŚCI
Z KRZYŻYKIEM

W serii

POWIEŚCI Z KRZYŻYKIEM

dotychczas ukazały się:

Gilbert Keith Chesterton

KULA I KRZYŻ

Gilbert Keith Chesterton

CZŁOWIEK, KTÓRY BYŁ CZWARTKIEM

Gilbert Keith Chesterton

PRZYGODY KSIĘDZA BROWNA

Gertrud von Le Fort

PAPIEŻ Z GETTA



W przygotowaniu:

Walter M. Miller Jr

KANTYCZKA DLA LEIBOWITZA

Gertrud von Le Fort

Papież z getta

Legenda

rodu Pier Leonich

— powieść —

Przekład autoryzowany
Jana Sztaudyngera

FRONDA

Tytuł oryginału
**DER PAPST AUS DEM GHETTO
DIE LEGENDE DES GESCHLECHTES
PIER LEONE**

Copyright © Deutsche Schillergesellschaft/ Deutsches Literaturarchiv Marbach

Copyright © 2008 by FRONDA PL Sp. z o. o. Warszawa

Tłumaczenie
Jan Sztaudynger
Copyright © by Anna Sztaudynger-Kaliszewicz
and Jan Jacek Sztaudynger

Redakcja
Dorota Matejczyk

Projekt serii
Bartłomiej Kuźnicki

Grafika na okładce
Halina Kuźnicka

Opracowanie typograficzne i łamanie
PanDawer, www.pandawer.pl

ISBN 978-83-60335-74-1

Wydawca
**FRONDA PL Spółka z o. o.
ul. Jana Olbrachta 94
01-102 Warszawa
tel. (22) 836 54 44, 877 37 35
faks (22) 877 37 34
e-mail: fronda@fronda.pl
www.fronda.pl**

Druk i oprawa
**Drukarnia GS Sp. z o.o.
ul. Zabłocie 43, Kraków**

Wydanie II
(Wydanie I nakładem Drukarni i Księgarni Św. Wojciecha w Poznaniu, 1936)

DZIAŁO SIĘ ZA PONTYFIKATÓW

LEONA IX (1049–1054)
GRZEGORZA VII (1073–1085)
URBANA II (1088–1099)
PASCHALISA II (1099–1118)
GELAZEGO II (1118–1119)
KALIKSTA II (1119–1124)
HONORIUSZA II (1124–1130)
INNOCENTEGO II (1130–1143)

ZA CZASÓW ANTYPAPIEŻY

KLEMENSA III (WIBERTA) – 1080–1100
ANAKLETA II (PIER LEONE) – 1130–1138

POŚRÓD RUIN ZŁOTEJ ROMY leżą tysiące odłamków, relikwii jej dziejów. Są wśród nich wielkie i małe, czytelne i zatarte. Fragmenty czytelne poskładano razem, luki – na nieczytelnych – wypełniło tajemnicze pismo Nocy...

I tak powstała ta opowieść.

Petrus Leonis wywodził swój ród od Barucha Leonis, a Baruch Leonis od Hanocha ben Esra, mylnie przez pospólstwo zwanego „Benedictus Christianus”.

Ów Hanoch ben Esra żył w latach częstych, potężnych trzęsień ziemi. Wielu żydów ginęło wówczas śmiercią gwałtowną, ponieważ podejrzewano ich, że to oni sztuką czarnoksięską zakłęli moce piekielne, by zgubiły miasto Romę, niegdyś przecież pogromcą Jeruzalem. (Znane jest bowiem prorocstwo św. Benedykta, że upadek Rzymu nastąpić mógłby tylko na skutek katastrof żywiołowych. Stąd jedno, choćby słabiutkie, wstrząśnienie ziemi wprawia w szal i przeraża Rzymian bardziej niż ukazanie się całej hordy barbarzyńców.)

Jak przed sześciuset laty, kiedy to zażegnawano zarazę, tak i teraz trzeci już dzień obnoszono w uroczystej procesji obraz Chrystusa wszystkimi ulicami miasta. (Obraz ów zwykle znajdował się w domowej kaplicy ojca świętego, a wymalowały go niegdyś pobożne ręce Świętego Łukasza.)

Czoło procesji zmierzało właśnie z wąskich uliczek ku białemu mostowi na Tybrze (zwanemu Pons Senatorum), gdy wtem ziemia zadygotała z taką siłą, że most na oczach pochodu, który właśnie miał nań wstąpić, runął w wodę. Wśród uczestników procesji powstało straszliwe zamieszanie: niektórzy padali na ziemię martwi z lęku, inni wzywali świętych Pańskich na pomoc, jeszcze inni przypomnieli sobie o żydach.

— Dalej! – wołali. – Własne ich dzieło zgotuje im karę!

Chorążowie gwałtownie powbijali w ziemię drzewce chorągwi i krzyże. Kto żyw wyrwał kamienie z obalonych słupów mostu. Rozszalały tłum ruszył zwartą ławą w pobliskie ulice Hebrajczyków. (Jak wiadomo, Pons Senatorum jest pierwszym mostem powyżej Pons Judeorum, w pobliżu którego po obu stronach rzeki mieszka wielu żydów.)

Wpadł wówczas (między innymi) w ręce rozszalałej zgrai Hanoch ben Esra, czcigodny starzec, kiedy wystraszony trzęsieniem

ziemi wybiegł przed dom swój. Wydarł się tłumom i uciekł krwawiąc z potarganą szatą. Straszny przedstawiał widok, gdy przypadł do szeregów orszaku, wstrzymywanego od rozsypki ostrzegawczym nawoływaniem księży.

Jakby za szańcem ze złota i śniegu zbliżał się obraz Chrystusa Króla; modlono się jeszcze, gdy wpadł żyd, wciąż szczuty gradem kamieni przez swych prześladowców. Nagle rozległy się z początku raczej bólu niż gniewu pełne głosy: „Sacrilgium, sacrilegium!” Hanocha ben Esra niósł chyba strach przed śmiercią, a nie jego stare nogi. Przełamał białe i złote szańce księży dalmatyk i upadł zalany krwią u stóp papieża.

Papież trzymał oburącz obraz Chrystusa i trwał w modlitwie. Złotem swej korony i płaszcz na pół zgnieciony, jak posąg całym słuźbie świętego obrazu oddany, mimo woli zrobił krok w tył, ale starzec rozpaczą zdjęty przyczołgał się doń na drżących kolanach i ukrył głowę pod purpurowym płaszczem ojca świętego.

Zapewniano później, że papież w nagłym jasnowidzeniu ujrzał przez swój płaszcz na wylot w zakrytym obliczu starego żyda prawzór, wedle którego Stwórca wyrzeźbił oblicze świętego Piotra, i to miał być powód, dlaczego osłonił nędznego żyda. Ale w istocie było odwrotnie. To żyd i lud rzymski mieli w owej chwili po raz pierwszy od długiego czasu ujrzeć na obliczu papieża apostolski majestat Świętego Piotra.

Niedawno jeszcze dziki ród Tuskulańczyków rozpościerał zbrodniczą władzę nad Stolicą Świętą, a nasz papież był jednym z pierwszych następców piotrowych przepojonych duchem wielkiej reformy kościelnej poczętej w Kluniaku. Nie miał on żadnej wizji, ale myślał o przykazaniu miłosierdzia chrześcijańskiego i o postanowieniach swoich świętych poprzedników z dawniejszych czasów, którzy surowo nakazali nietykalność ciała i życia narodu żydowskiego. Chodziło o to, aby dać narodowi temu moż-

ność nawrócenia się lub by przynajmniej i on na swój sposób dawał świadectwo śmierci Chrystusa na krzyżu.

Z początku nie ważono się dotknąć szat świętych, ale pokrzykiwano, aby papież uchylił płaszcz i wydał złoczyńcę, a wówczas ustanie trzęsienie ziemi. Już się podnosiły z głębi tłumu głosy zuchwałe z sztycherem pytaniem:

— Czy uschły ręce, co się podniosły przeciw Benedyktowi IX?

Zadrżało serce w ojcu świętym, bo i on był tylko człowiekiem, a lud szalał. Widziano w ubiegłych wiekach prześladowanie niejednego papieża brutalną dłońią świeckich, a nawet zdarzało się, że papież schodził z tego świata śmiercią gwałtowną. Nasz papież miał wielu wrogów, nie pozwalał bowiem na kupczenie kościelnymi urzędami, i wiedział o tym. Ale że w rękach niósł obraz Tego, który umarł i za żydów, był gotów, gdy zajdzie potrzeba, umrzeć nawet i za tego żyda. Milczał. Oczy nieugięte utkwiał w obrazie, uniósł go tylko trochę ku górze, tak że wizerunek, jawiąc się nad tłumem, równocześnie zasłonił jego własne oblicze. I tak oto stali obaj: papież w swej koronie i stare żydzisko, jakby korzeniami weń wrosłe, naprzeciw szalejącego świata.

Tłum wahał się. Na papieża uderzyłby bez pardonu, ale obraz święty w rękach papieskich siał grozę. Tłum wyraźnie zawziął się, groźnie stężały w mur ciał i milczenia. Chwila, a runie niosąc zagładę. Nagle rozległ się głos żyda spod płaszczu ojca świętego jak prośba o miłosierdzie:

— Wierzę w Boga Ojca wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi...

Papież podjął spokojnie, znowu tylko obraz święty ludziom pokazując (zdawało się jednak, że jego głos sptywa się w jedno z tym drugim u jego stóp):

— I w Jezusa Chrystusa, Syna Jego jedynego, Pana naszego, który się począł z Ducha Świętego...

Przez chwilę nikt nie śmiał odetchnąć. Milczenie trwało wokół tak wielkie, że było je niemal słychać. A potem z tłumu wydarł się krzyk: – Żyd mówi *Credo!* Żyd się nawrócił! Cud u nóg ojca świętego!

Mur zachwiał się – lud runął na kolana. A tymczasem kilku kleryków odniosło omdlałego żyda na ubocze.

Kiedy zaś zapadł wieczór, cały Rzym wiedział, że trzęsienie ziemi już się nie powtórzy, bo jeden z żydów, którzy je spowodowali, nawrócił się do Chrystusa w nagłym, cudownym olśnieniu. Mówiono też, że Hanoch ben Esra jeszcze tego samego dnia przyjął chrzest święty i otrzymał imię Benedykta. A Rzymianie, którzy rankiem chcieli ukamienować żyda, łomotali teraz do furt klasztornych, za którymi domyślali się jego obecności, aby mu ucałować ręce, bo wierzyli, że on to uratował ich miasto od plagi trzęsienia ziemi. Wszędzie jednak napotykali tylko strażę papieskie, które odmawiały im wszelkich wyjaśnień.

Rozmowa Hanocha ben Esry z ojcem świętym

Doszło do niej w kilka lat później, a mianowicie wtedy, kiedy to Rzymianie z poduszczenia swoich chciwych Kapitanów grozili papieżowi wygnaniem z miasta. Chcieli go wygnać, dlatego że zwalczał uparcie świętokupstwo. Ciągłe bowiem jeszcze synowie szlachty czerpali dochody z tej symońskiej zarazy. I ciągle zausznicy ich rozrzucali wielkie sumy między lud kłaniający się złotemu cielcowi, a ojciec święty siedział w twierdzy Leonina z pustkami w kieszeni, chroniony jedynie zdradzieckim mieczem Cencjusa Frangipane, paktującego właśnie z wrogiem o cenę tego miecza.

Owego to Cencjusa lud zwał Herkulesem. Wielkiego wzrostu, białej cery (w żyłach jego płynęła krew Longobardów), Cencjus słygnął z nieokiełzanej siły.

Niejednokrotnie szukał on korzyści przy papieskim tronie, podobnie jak inne rody u symonian, bo wierzył jeszcze (jak i wcześniej wierzone), że skoro się chroni papieża, to tym samym ma go się w rękę. Postępowanie jego nie wynikało z pobudek postuszeństwa czy wierności ani ze zrozumienia boskiego posłannictwa świętego Kościoła, dlatego gdy była prawdziwa potrzeba, zawodził. Ojciec święty wiedział o tym dobrze. Ale cóż było począć? Cesarz powołany i namaszczony na ziemskiego obrońcę Kościoła leżał w tumie spirskim z mieczem w dłoni, a Rzesza oczekiwała, aż syn jego dojdzie do pełnoletności, oblubienica Pańska, Kościół święty musiał się zatem zadowolić puklerzem jednego z pomniejszych wasali.

Żyd wchodząc najpierw upadł na twarz. Potem położył dwa ciężkie wory złota przed ojcem świętym i prosił, aby mu papież pozwolił przynieść resztę pozostawioną pod strażą służby przed pałacem, jako że nie mógł unieść wszystkiego.

Zdumiał się młody, wątłej budowy papież o mądrej twarzy mnicha i spytał:

— Czemu przynosisz mi pieniądze, wszakże to nie czas, w którym Żydzi mają zwyczaj składać swą daninę?

Hanoch ben Esra odpowiedział: – Ale to czas, w którym wasza świętobliwość znalazła się w potrzebie.

— A cóż ci do tego, synu Izraela? – zapytał papież na sam widok złota gotów do szorstkiej odmowy, tak zgorzkniał w walce z bezecnymi symonistami,

Żyd odpowiedział: – Ja jestem Hanoch ben Esra, którego wasza świętobliwość osłonił płaszczem przed szalejącym tłumem!

— Nie ja, nie ja – odparł papież prędko – tylko Chrystus, uczyniłem to jako Jego namiestnik.

Żydowi słowa uwięzły w gardle. Widać było, jak jego ciało się kurczy, on bowiem słyszeć nie chciał o ukrzyżowanym Bogu,

a tylko wdzięcznym był papieżowi jako człowiekowi za okazaną mu sprawiedliwość.

Ojciec święty dojrzał jego myśli i posmutniał, ale równocześnie sam też ze swej strony poznał, że żyd jest szlachetnym człowiekiem.

— Hanochu – rzekł. – Ty masz wdzięczne serce, a to na ziemi jest rzeczą rzadką. Zaprawdę, jak pragnę tego, aby mi Bóg w pełnieniu ciężkiego urzędu pomagał swą łaską przenajświętszą, tak wolałbym, abyś mi zamiast tego worka duszę swoją przyniósł.

— Duszą jego jest właśnie worek – mruknął Cencjus Frangipane za plecami papieża.

Papież z jawnym nieukontentowaniem odrzekł śpiesznie: – O nie, ten worek to właśnie dowód jego wierności.

Żyd widząc jasno, że papież mu sprzyja, i pragnąc dać upust wdzięczności swojej, podjął żarliwie i kornie: – Prawda to, ojcze święty, że my żydzi kochamy nazbyt pieniądze, ten pan ma rację, ale wasi Rzymianie kochają je więcej od nas.

— Czy kochają je więcej od was, tego nie wiem – odparł papież z westchnieniem – ale kochają je. Kochają je tak bardzo, że gdyby znalazł się kupiec na miasto ROME, sprzedaliby się sami.

— Kup ich, ojcze święty – zawołał żyd bez namysłu – bo jeśli ich nie kupisz, strącą cię z tronu i wybiorą sobie innego papieża, który znów każe sprzedawać urzędy kościelne.

Młody papież spojrział na żyda w zamyśleniu. Ciężko mu było na sercu. I rzekł:

— Jakże pokornym być musi na tym świecie człowiek, którego Chrystus powołuje na swego namiestnika!

Wówczas Frangipane widząc, że języczek wagi przechyla się na stronę żyda, i trwożąc się o swoją nagrodę za zdradę zakrzyczał gniewnie: – Podły żydzie, ważyłbyś się sprzedać miasto ROME, jak wasz przekłęty Judasz Jezusa Chrystusa?

Na to papież z rosnącym nieukontentowaniem:

— Podajcież mi jedną z monet, które przyniósł ten żyd.

A gdy uczyniono, czego żądał:

— Czyjeż to godło widzę na niej, Cencjusie Frangipane, czy jest to wizerunek żyda?

Frangipane czerwony z pasji: – To jest godło miasta Romy.

— Oddajmyż tedy – rzecz papież – miastu Romie to, co jest miasta Romy, a co jest bożego – Bogu.

Z kronik niepisanych:

I pobłogosławił Pan wierności Hanocha ben Esry. Stał się on tak bogatym, jak przed nim żaden żyd, jak w ogóle żaden człowiek w całym Rzymie. Ba, zdawało się, jakby to złoto, z którym przyszedł na ratunek ojca świętego, chciało mu się rozmnożyć w dziesiątki i setki, choć wówczas wziął za nie tylko zwykły i dozwolony procent. Kościół święty bowiem nie wzbraniał żydom, tak jak wyznawcom Chrystusa, pobierania procentów.

Mówiono, iż to błogosławieństwo Pańskie skłoniło syna Hanocha (był to Baruch ben Baruch, którego lud zwał Baruchem Leonis od jego wspianiałego, nowego domu przy Porta Leone), że i on również swe usługi ofiarował Kościołowi świętemu, ale nie jak jego ojciec z pobudek wdzięczności, gdyż Baruch Leonis był znanym lichwiarzem, który niczego nie robił bez korzyści dla siebie.

Oto jakim był Baruch Leonis: gołą ręką pewniej i precyzyjniej niż najdokładniejsza waga oceniał istotną wartość monet, a podobnie duch jego rozróżniał w biegu dziejów świata wartości nowe od wartości minionych i wagę różnorodnych sił działających na ziemi. Baruch Leonis bowiem mądry był i dobrze wiedział, że minęły dla Romy czasy wszechpotężnych Kapitanów i że tym samym tylko wtedy będzie można zapewnić sobie dobrobyt, gdy się opowie po stronie papieża.

Pewnego dnia wielcy Kapitanowie miasta przybyli szumnie i zbrojnie w wyłożony dywanami dom bogacza Barucha Leonis prosząc, by im pożyczył większą sumę pieniędzy. Znów bowiem gotowali się w tajemnicy powstać przeciw ojcu świętemu; obawiali się teraz już nie tylko o swoje grzeszne grosze z symonii, ale także lękali się „patarii” (tej „hołoty” z mediolańskiej dzielnicy ubogich, która wzięta szturmem domy księży hołdujących symonii, a Kapitanom, którzy ich strzegli, zagroziła śmiercią).

Baruch Leonis zajęty był właśnie liczeniem złotych monet, które płynęły przez jego wielkie, twarde ręce jak złoty potok po krzemieniach.

I owszem, gotów jest im pożyczyć. Ale pod jednym warunkiem... o ile potrzebują tych pieniędzy na obronę papieża. Wiedziałyby wówczas, że zostaną użyte dla dobrej sprawy. Cały świat chrześcijański podniósłby się wszędzie na kształt fali, aby tę sprawę poprzeć...

Ta odpowiedź Barucha wprawiła Kapitanów w ogromne zdumienie. Wyobrażali bowiem sobie i do tej pory trwali w błędzie, że wystarczy tylko porządnie wymierzyć cios w wielką reformę świętego Kościoła, a ona, tak otwarcie występująca przeciw naturalnemu biegowi rzeczy i zwyczajom świata, rozleci się w drzazgi. Po czym wszystko będzie, jak bywało dawniej.

Od tej wizyty – tak sobie opowiadano – Joannes Frangipane, syn tego Cencjusa, który zamyślał zdradzić papieża, trzymał się wiernie ojca świętego i przez jakiś czas Kościół święty mógł istotnie ufać jego straży.

Majątność Barucha Leonis dorównała bogactwu jego ojca. Kiedy przejeżdżał ulicami miasta, wszyscy żebracy i kuglarze pozdrawiali go jako „dostojnego konsula i senatora Rzymian”. Liczbą bowiem zbrojnych pachotków i barwą strojnych niewolników mógł iść w zawody z pierwszymi Kapitanami miasta, a nawet ich prześcigał. (I chętnie słuchał okrzyków wydawanych na swoją

czeń). Joannes Frangipane był z nim za pan brat i często u niego przesiadywał. Stale z ust Joannesa słyszano słowa: „Baruch Leonis zgadza się, Baruch Leonis nie zgadza się, Baruch Leonis to i to rądzi”. Ale znaczyło to tyle, co: „Baruch daje na coś pieniądze” albo „Baruch Leonis nie daje pieniędzy”, Baruch Leonis dawał jednak zawsze pieniądze, gdy Frangipane stał po stronie papieża.

Wtedy przypomniano sobie w Rzymie bajkę o owym Benedykcie Chrześcijaninie. Niektórzy twierdzili, że syn razem z ojcem przyjął chrzest święty i naprawdę nie nosi już imienia Barucha, ale zwie się Leon (na cześć ojca świętego Leona IX), inni zaś utrzymywali, że niedługo ma się ochrzcić. Pogłoski te szerzył Frangipane. Udawał też zawsze, że wierzy w swoje słowa, bo bał się, że ojciec święty może mu mieć za złe, iż brata się z nieochrzczonym żydem, a on teraz nie żartem szukał swego szczęścia u boku papieża. Rzymianie zaś chętnie mu wtórowali, gdyż choć godzili się z faktem, że żyd jest bogaty i mądry, to żeby miał być Kapitanem ich miasta, nie sposób im było się pogodzić.

Oto jakie było położenie żydów w Rzymie:

Nie prześladowano ich już jak za owego wielkiego trzęsienia ziemi. Rzymianie bowiem, jeśli tylko nie odchodzą od zdrowych zmysłów, jak w owych nieszczęsnych dniach, zawsze uważają swe miasto za stolicę świata i chcieliby wszystkim ludziom przyznać w nim prawo obywatelstwa, ta myśl ich upaja i oto widzą przed oczyma duszy dawną, wspaniałą Rzym. Ale i wszyscy papieże, którzy wyszli z obozu wielkiej reformy, osłaniali swą dłońmi dzielnicę żydów nad brzegiem Tybru. Widziało się mieszkańców tej dzielnicy bez przeszkód wchodzących i wychodzących z miasta. Mężczyźni i kobiety mieli czarne włosy i czarne oczy, tak zresztą jak i inni mieszkańcy Romy. (W mieście tym tylko Kapitanowie mają jasne włosy.)

Mimo to na tle innych wyglądali obco – jakby wciąż jeszcze przychodzili z daleka. Wszyscy jednak przybyli tu już przed tysią-

cem lat, pojmani w niewolę, kiedy to skarb świątyni jerozolimskiej niesiono w tryumfie Tytusa. Czasami żartowali między sobą, że chyba są najstarszymi mieszkańcami Romy (bo z licznych plemion, jakie tu zastali w pełni rozkwitu, nie zostało już ani śladu). Żarty te jednak miały posmak tragiczny. Ani jeden z nich nie chodził poza obrębem murów Romy po własnej roli. Zboże w ich spichrzach było kupnym zbożem, wino w ich piwnicach było kupnym winem, kwiaty we włosach ich młodych cór były kwiatami kupnymi. Tylko pieniądze w ich workach były naprawdę ich własnością.

Gdy do uszu naczelnika gminy żydowskiej doszły plotki obiegujące miasto, uczuł się w końcu zmuszonym zażądać od Barucha Leonis wyjaśnień, co mają znaczyć jego stałe stosunki z chrześcijanami.

Baruch Leonis odparł: – Nasi bracia w Andaluzji i Kordobie rządzą koronami królów i berłami kalifów, a ci są im za to wdzięczni. Czemu by Izrael nie miał kwitnąć w Romie, tak jak zakwitł w Hiszpanii?

Na to naczelnik gminy, człek pobożny i pokorny:

– Mój synu, niebezpieczna to rzecz dla Izraela, gdy zakwita.

Zaś Baruch Leonis: – Czy naród Pana – niech będzie imię Jego pochwalone – stać ma na tym świecie zawsze tylko z boku?

Naczelnik: – Jak może syn Izraela tak mówić? Czyż ty nie wiesz, Baruchu, że nasi mistrzowie nauczają: „Święty, niech będzie imię Jego pochwalone, wzgardził wysokimi górami i objawił się na niskim Synaju”?

Baruch Leonis: – Ale nasi mistrzowie uczą też, że lepiej być ogonem lwa niż głową lisa.

I znowu naczelnik: – Mój synu, bracia twoi i siostry wierzą w Boga ojców swoich – niech będzie imię Jego pochwalone – a ty byś chciał wierzyć w dzieci Edoma?

Baruch Leonis (uśmiechając się): – Nie, tylko one powinny wierzyć we mnie.

Kiedy jednak przestraszony tym naczelnik spytał, czy to, co rzekł, ma znaczyć, że jak wieści chodzą, on, Baruch, chce przyjąć wodę chrztu – Baruch zaryczał w odpowiedzi, jak byk śmiertelnie ranny. Na to naczelnik wraz z dwoma świadkami, którzy mu towarzyszyli, opuścił komnatę, pobladły z trwogi na widok gniewu i bólu tak silnego.

Od tej pory nigdy się nie zdarzyło, aby synagoga uznała za stosowne upominać Barucha Leonis, aczkolwiek Frangipanowie i lud nie przestawali rozsiewać bajek o jego chrzcie.

Bajki o Baruchu Leonis umilkły dopiero wtedy, gdy na tronie papieskim zasiadł wielki archidiakon Hildebrand. Jemu to udało się wreszcie na chwilę usunąć zamęt w świecie i władczo w imieniu Chrystusa wyznaczyć każdemu miejsce należne mu w obliczu Boga i ludzi: symońskich księży wygnać z Kościoła, świątobliwych osadzić na stolicach biskupich, chrześcijan – i to zarówno książąt, jak lud – poddać pieczy ich pasterzy, a żydom wskazać bez przesładowań, ale surowo, że miejsce im stosowne jest w ich gminie. Wtedy to zakazano Baruchowi Leonis trzymania chrześcijańskich służących i niewolników, bo, jak mówił ojciec święty, nieochrzczony nie powinien stać nad ochrzczonym; a Frangipanowi dano do zrozumienia, że jako rycerz świętego Kościoła mógłby więcej ufać opiece Chrystusa niż radom i bogactwu Barucha Leonis. Joannes Frangipane z lęku przed surowością ojca świętego odsunął się wtedy całkiem od swego żydowskiego przyjaciela i przez pewien czas nie słyszano nic o wpływie tegoż, aż tu pewnego dnia przyszła wieść, że Baruchowi się zmarło, a interesy i niezmierzone bogactwa przeszły na jego syna.

Syn Barucha Leonis

Ten nie był lichwiarzem, jak jego ojciec, lecz znamienitym mężem, godnym w obejściu i ruchach. Zaraz też położył kres

lichwie ojcowej. W gminie znano go jako sumiennego w każdym calu sługę prawa. Mimo to wiedziano, że i z powodu niego musiała się troskać synagoga, chociaż nie można mu było zarzucić, że miesza się w sprawy chrześcijan. Ale zdaje się, że właśnie jego trzymanie się z dala wzbudziło lęk o niego (syn Barucha uchodził bowiem za człowieka jeszcze o wiele mędrszego od ojca). Tym razem jednak synagoga nie pytała go ani nie ostrzegła, za to ożeniła go z córką rabbiniego Natana ben Jechiel, którego nazywano „surowym”. Ale Miriam wtedy jeszcze nie była surowa, Miriam była piękna.

Z kronik niepisanych:

Ojciec święty Grzegorz VII nie chciał z początku przystać na to, by policzono syna Barucha Leonis w poczet katechumenów, i kiedy diakon, który miał nad nimi pieczę, przybył radosny z powodu tego wielkiego i doniosłego nawrócenia, papież wręcz je odrzucił. Ale następnego ranka widziano, że bardziej niż zwykle płacze przy mszy świętej (papież ten zawsze sprawował świętą ofiarę płacząc), tak że hrabina z Tuscji, która wówczas bawiła w Rzymie, powróciła myślą do owych dni, kiedy to młodzieńki król niemiecki Henryk IV na zamku jej w Kanossie o absolicję błagał, korną przyjąwszy postawę, lecz nie ukorzywszy serca (wtedy to bowiem zaczynała być jasnym, że Salijczyk w Kanossie nie był szczerze skruszony, tylko przez uzyskanie rozgrzeszenia rad był podtrzymać chwiejącą się koronę na głowie, w istocie zaś dybał na wolność świętego Kościoła, podobny w tym do nieszczęsnych Kapitanów rzymskich, tyle że pragnął namaszczenia na cesarza). Na zamku w Kanossie rankiem w czasie mszy płakał był ojciec święty równie gwałtownie, a łzy te wówczas ośmieliły hrabinę, by wstawić się za wyklętym. I dzisiaj proszono ją o wstawiennictwo, oddała bowiem Świętemu Piotrowi na własność nie tylko wszystkie swoje dobra

i posiadłości, ale i wszystkie siły swej duszy, a następca księcia Apostołów do nikogo na świecie nie miał większego zaufania, jak do niej właśnie. Niektórzy kardynałowie mniemali jednak, że ojciec święty obawiał się może wzmocnienia potęgi wiecznie zmiennych i niebezpiecznych Kapitanów. Obawiał się, aby neofita nie spokrewnił się z rodami możnowładców, i to miało być tajemną przyczyną, że sprzeciwiał się udzieleniu chrztu bogaczowi, synowi Barucha Leonis.

Ojciec święty i hrabina z Tuscji

Papież ten był niskiego wzrostu i niepozornej postawy – podczas intronizacji szerokie szaty jego poprzedników wisały mu na wąskich barkach jak wiotkie skrzydła, ale z oczu bił majestat władcy nie z tego świata, a kiedy wymówił imię Chrystusa, to jakby zagrał dzwon aż po krańce ziemi.

Ojciec święty do hrabiny: – Córko, czy przypominasz sobie jeszcze czasy Kanossy?

Hrabina (twarz jej była delikatna, ale śmiała, jak twarz młodego chłopca; jaśniała radością, bo już poprzednio odczuła, o czym papież myśli, a w gorliwości swojej rada była zrozumieć i odgadnąć każdą najskrytszą myśl papieża): – Ojczy święty, tyś płakał dziś przy ołtarzu jak wtedy.

Ojciec święty: – Ale czy wiesz także, córko, dlaczegośmy płakali?

Zapłonęły jego wielkie oczy: – Mówią, że Salijczyk zwyciężył w nas polityka kapłanem, ale Chrystus niech będzie mi świadkiem, że nie polityk we mnie pierwszy się opierał, ale właśnie kapłan.

Hrabina (wierzyła do tej pory w to, w co wszyscy wierzyli, więc posmutniało jej jasne wejrzenie i rzekła z wielką pokorą): – Ojczy święty, nie mnie, twej córce, rozumieć twą głębię.

Spojrzał na nią łagodnie, bo nikt nie rozumiał go w pełni. Po czym zmieniło się jego oblicze, jakby zdjęto zasłonę z kielicha jego duszy.

Hrabina nagle szeptem, zdjęta czią: – W Kanossie chodziło o świętość sakramentu pokuty.

Ojciec święty: – Chodziło o świętość sakramentu pokuty. Zawsze chodzi o świętość sakramentów. Nawet jeśli chodzi o politykę, chodzi o cześć sakramentu, bo konsekracja naszych biskupów jest sakramentem, a także namaszczenie cesarza jest świętością. Zawsze chodzi tylko o Chrystusa. Mimo to jednak nie mogliśmy w Kanossie obronić sakramentu, chociaż serce nasze znało przepis, wedle którego mamy dawać rozgrzeszenie. Chciał widać Chrystus pod ciężarem win tego świata cierpieć aż po jego kres.

Nazajutrz rano diakon, którego papież poprzednio z niczym odprawił, otrzymał rozkaz: – Zalicza się syna Barucha Leonis w poczet katechumenów, ale wyznacza mu się czas próby.

Oto okres próby przyszłego Petrusa Leonis (wypadła ona jednak całkiem nie po myśli ojca świętego):

Żyją po dziś dzień wrogowie Kościoła świętego, którzy utrzymują, że wielki papież Grzegorz VII był czarownikiem (jak mówiło się i o papieżu Sylwestrze II), świadomym czarnej magii, której nauczają w wyższej szkole niewiernych w Kordobie. Plotka ta odnosi się do czasów, kiedy to król niemiecki Henryk IV wyruszył, by ojcu świętemu mieczem odebrać inwestyturę książąt kościelnych i zdobyć koronę cesarską. Wtedy widziano w naszym mieście, jak niejednen Kapitan, stronnik świętokupców, przeobrażał się w żarliwego zwolennika reformy, a coponiek który wróg patarii – w brata biedoty. Tak cudownie bowiem ojciec święty Grzegorz jednoczył wszystkich samą siłą swoich wielkich oczu i sposobem, w jaki wymawiał między nami imię Chrystusa. Ale ta szkaradna plotka o papieżu-czarowniku nie powstała skutkiem owej dziwnej jedno-

ści, niespotykanej i niebywałej przedtem. Ona powstała za sprawą zapasów zboża, którymi syn Barucha Leonis żywił nas w czasie oblężenia, jak Józef, jego przodek, głodujących Egipcjan. Inaczej bowiem niż jako sprawkę czarnej magii – mówią ci, co rozprowadają o papieżu-czarowniku – nie dałoby się pojąć, że w ciągu siedmiu miesięcy – tak długo trwało oblężenie – zapasy nasze bynajmniej się nie kończyły. Mimo to wyczerpały się (jak też i naszej jedności na żalosny koniec przyszło). Nasz głód straszliwy i boleści z osłabienia i wycieńczenia zaświadczyły o niewinności ojca świętego, aczkolwiek on nie potrzebował żadnego świadectwa, bo chleby, które rozrzucano, aby uciszyć lud, gdy uprowadzano papieża, pochodziły już z resztek zapasu.

Ucieczka ta nastąpiła, jak to wszyscy wiemy, w wielkim pośpiechu i zamęcie, bo gdy na lewym brzegu Tybru bito w dzwon na trwogę, nasi Kapitanowie klęczeli jeszcze w Leonina zaklinając ojca świętego, aby ustąpił przed żądaniami króla, a tym samym odwrócił nieszczęście od miasta. Ale Henryk IV, który lepiej od nich znał papieża (bo przejrzał go nie swoimi wąskimi, przekornymi oczkami, jeno swym złym sumieniem, a to widziało bystro), nakazał Sasom i Turyngom skoczyć do Leonina, zanim jeszcze przyniesiono mu „nie” papieskie.

Musiano ojca świętego przeprowadzić przez siedem stopni, tak wysoki był wał nieboszczyków pod portykiem św. Piotra. Schodził wsparty na ramionach swych uciekających wybawców, twarz jego jaśniała spokojem, modlił się donośnym głosem za dusze pomordowanych. W ślad za nim rzucił się Joannes Frangipane na czele swoich w poprzek ulicy i mieczem ją przegrodził. Ale dlatego tylko mógł się ważyć na to i wykonać swój zamiar, bo wiedział, że na drugim brzegu Tybru syn Barucha Leonis stanąwszy na progu swego domostwa (tam do tej pory niczego nie brakło) rzucał chleb między Rzymian. A Rzymianie już się przygotowywali uderzyć z tyłu na Frangipana, głód bowiem upodobił ich do dzikich zwierząt.

Kiedy zobaczyli, że syn Barucha Leonis stoi w drzwiach swego wspaniałego domu, skakali mu do rąk jak dzikie koty; niewiele brakowało, a byłiby mu powyrywali ramiona z barków.

W tym dniu powstało przysłowie w Rzymie: „Wspierać się jak miecz Frangipana z trzosem Petrusa Leonis”.

Z kronik niepisanych:

Kiedy ojciec święty Grzegorz VII dogorywał w Salerno, kardynałowie towarzyszący mu na wygnaniu przy zasięganiu jego rad ostatnich zapytali go między innymi, czy zgadza się, aby odstąpić od surowej ostrożności zachowywanej dotąd względem syna Barucha Leonis i ochrzcić go.

Ojciec święty, choć umierający, lecz głosem wciąż jeszcze spirożowym: – Nie obeszlśmy się z nim surowiej aniżeli z naszymi biskupami: święte sakramenty nie są na sprzedaż.

Na to jeden z kardynałów przypomniał, że w czasie ucieczki ojca świętego syn Barucha Leonis wystawił na sztych własne swe życie.

Ojciec święty Grzegorz: – W Rzymie nie wystawia swego życia na sztych nikt, kto niesie w ręku chleb lub złoto.

I znowu kardynał, który mówił poprzednio, a był to starzec gołębiego serca: – Nie ryzykował życiem, ojczcie święty, lecz ręce swe na szwank wystawił, a i one mają wartość dla człowieka.

Na to zapadł ojciec święty w zadumę i trwał w niej czas dłuższy. W końcu głosem, jak dzwon pęknięty, ale nie głosem człowieka umierającego, jeno tym głosem, który już kiedyś słyszano przy rozgrzeszeniu króla Henryka: – Niechże więc ochrzczę syna Barucha Leonis, lecz najpierw niechaj powiodą go przez spalony portyk Świętego Piotra i przed pałac, gdzie na tronie zasiada mój przeciwnik (mianowicie haniebny herezjarcha Wibert, którego Salijczyk osadził na stolicy piotrowej). Tam powiadomi go się,

jak nam się zmarło, i nie zatai się żadnego z naszych ostatnich słów. A chodziło ojcu świętemu o słowa: „Ponieważ miłowałem sprawiedliwość, a nienawidziłem niesprawiedliwości, umieram na wygnaniu”. Miał nawet prawo powiedzieć o sobie: „Dlatego niosę cierniową koronę Pana naszego”.

Kiedy to poselstwo zaniesiono synowi Barucha Leonis – a stać się to mogło nie wcześniej, nim zaczęto odbudowywać portyk Świętego Piotra, ów otrzymawszy te papieskie słowa odparł:

– Odtąd żaden papież nie powinien umierać na wygnaniu.

Wielu przypomniało sobie tę odpowiedź, kiedy nasz ojciec święty Innocenty II przed kardynałem Pier Leone (to jest schizmatyckim papieżem Anakletem II) uciekać musiał do Francji.

Taką była Miriam, matka schizmatyckiego papieża Anakleta II, córka Natana ben Jechiel, którą zaślubiono Petrusowi Leonis (tak odtąd nazywano syna Barucha).

Żydzi z Romy opowiadają:

W gminie nazywano ją piękną Miriam. Kamiennej twarzy „Reine de Juda” w katedrze w Chartres nadano jej rysy. Towarzyszyła tam mężowi w podróżach handlowych, kochała go bowiem tak, że nigdy się z nim nie chciała rozstać. On odpłacał jej równą miłością, więc teraz nie śmiał jej powiedzieć o swoim chrzcie, a ona wierzyła w jego milczenie, jak w świętą księgę Tory. Kiedy w dzielnicy żydowskiej rozeszła się wieść, że został policzony w poczet katechumenów, ojciec Miriam zażądał od niej, aby opuściła męża. Ale Miriam uśmiechnęła się pod jedwabną zastoną, podarowaną jej od męża:

– Nie wierzę w to i nie chcę w to wierzyć.

Na to rabbi: – Czyś nigdy nie pytała małżonka, czy jest wierny Izraelowi?

Miriam całując pierścionek, dar od męża: – Nie pytałam i nie zapytam.

A rabbi ponownie: – Nie widzisz tego, co widzą wszyscy?

Miriam zamykając oczy, jakby zamykała je przed szczęściem:
– Nic nie widziałam i nie chciałabym widzieć niczego.

Zamilkł wtedy rabbi, bo nie mógł uwierzyć, by miał utracić swoje dziecko.

Skutek tej rozmowy był taki, że żydzi aż do ostatka ufali w syna Barucha Leonis.

Oto jak piękna Miriam stała się wielką Miriam; nie dlatego jednak nazywano ją wielką, że była wysoka i wspaniałej postawy, ale dlatego, że dusza jej była z tych, o których mówi księga Przypowieści: „Niewiastę mężną któż znajdzie? Z daleka i do ostatnich granic cena jej”. W dniu bowiem, w którym Petrus Leonis ochrzcił się z dwoma synami z pierwszego małżeństwa u św. Jana in Fonte, Miriam rozdarła zasłonę małżeńską, która okrywała jej głowę. Potem wyjęła ze skrzyni ślubną szatę, w której niegdyś stała z mężem pod baldachimem, i odziała się w nią. Wzdęła się jak fala na jej łonie, bo od szeregu miesięcy Miriam była w stanie błogosławionym. Nie włożyła tylko korony, niegdyś opromieniającej jej piękne czoło jako panny młodej, a za to posypała popiołem na niezakryte ciemię. I tak z koroną w rękach, jak zhańbiona narzeczona, która nigdy nie wyszła za mąż, stąpała ciężkim krokiem kobiety brzemiennej, ku zdumieniu gromady służących męża swego, w dom ojca, rabbiiego Natana ben Jechiel.

Hannah Naemi, siostra rabbiiego, ujrawszy ją domyśliła się natychmiast, co się stało. Miriam weszła osypana popiołem, to mogło znaczyć tylko jedno – Miriam bowiem do tej pory nie pobożnisała, ale próżną będąc lubowała się w królewskim przepychu. Jeszcze po wielu latach opowiadano sobie wśród żydów o złotych trzewiczkach senafrix Marocji. Hrabiowie z Tusculum, przyciśnięci wielką